

TANCERKA
I ZAGŁADA

HISTORIA POLI NIREŃSKIEJ

WERONIKA KOSTYRKO

TANCERKA
I ZAGŁADA

HISTORIA POLI NIREŃSKIEJ

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Weronika Kostyrko-Ziemińska

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Dla moich córek

Początek i koniec

W mieszkaniu na Tłomackiem była wielka kuchnia. W niedzielę, kiedy służące miały wychodne, Pola ustawiała gramofon na kuchennym stole i otwierała okno. Lubiła tanga i fokstroty, ale któregoś razu wybrała symfoniczne nagranie walca Camille'a Saint-Saënsa. Miała wtedy piętnaście lat. Kiedy wybrzmiały pierwsze dźwięki, dziewczyna zaczęła tańczyć. Był rok 1925, Warszawa, dzielnica żydowska.

Danse macabre to muzyczne opowiadanie grozy. Najpierw harfa wybija północ, potem skrzypce odzywają się rozstrojonym trytonem. To śmierć zaprasza duchy na bal. Kiedy taniec nabiera tempa, wyraźnie słychać klekot kości: twardy, suchy, pusty dźwięk ksylofonów. Zabawę szkieletów przerywa głos oboju, poranne pianie koguta.

„W drzwiach kuchni stanęła siostra. Kiedy przestałam tańczyć, zapytała: – Dlaczego robisz takie straszne miny? – Pola śmieje się cicho. – Bardzo ją kochałam. Moja Franka”.

Zaciąga się papierosem. Naprzeciw niej siedzi krytyk tańca George Jackson. Rozmawiają o dzieciństwie, które Pola spędziła w Polsce, o nauce tańca w Niemczech i w Austrii. O pracy w faszystowskich Włoszech, wojnie spędzonej w Anglii i szkole zbudowanej w Ameryce. O tym, jak tańczyła w Warszawie, Łodzi, Dreźnie, Wiedniu, we Florencji, w Rzymie, Londynie, Nowym Jorku, Jerozolimie i Tel Awiwie.

Są zaprzyjaźnieni, Pola odpowiada na każde pytanie. Dwa razy prosi, żeby wyłączyć magnetofon. Nagranie trwa półtorej godziny. Kiedy milkną, słychać brzęk filiżanek i samolot przelatujący za oknem. Jest rok 1985, Waszyngton.

Siedem lat później Pola skoczy z jedenastego piętra wieżowca przy North Park Avenue. W deszczowe przedpołudnie Jan wyjdzie z domu tylko na chwilę, po papierosy.

– Po śmierci Poli spędziłam z nim wieczór, noc i dzień. Przez cały ten czas siedział w fotelu, płakał, mówił coś cicho do siebie. Łyżeczką podawałam mu herbatę – wspomina dziewięćdziesięciodwuletnia Kaya Mirecka-Ploss. Filigranowa, starannie uczesana, przyjmuje mnie jesienią 2016 roku w białym domu z ogrodem, który Jan Karski często odwiedzał w ostatnich latach życia.

Pani Kaya lubi, kiedy się ją nazywa ikoną Polonii amerykańskiej. Przez wiele lat była przewodniczącą – choć ona woli mówić: prezesem – Amerykańskiej Rady Kultury Polskiej. Jej salon w Waszyngtonie dekorują zdjęcia z Janem Pawłem II i Lechem Wałęsą, najwięcej jednak jest fotografii Kai z Karskim.

Kaya znała Polę, ale nie były blisko. Przy pierwszym spotkaniu poczuła się urażona, że Nireńska nie chce rozmawiać po polsku.

– Dlaczego on się z nią ożenił? – pyta i milknie.

Kiedy już zbieram się do wyjścia, mówi:

– Ja myślałam, że on się z nią ożenił, bo ona była Żydówką.

To moja pierwsza podróż śladami Poli Nireńskiej. Poznaję jej życie od końca, czyli od Waszyngtonu, bo tam są Poli dokumenty i tam jeszcze żyją jej przyjaciele. W listopadzie 2016 roku niewiele o niej wiem ponad to, że była tancerką i żoną Jana Karskiego. Nikt jeszcze nie opowiedział jej historii, choć od samobójstwa minęło niemal dwadzieścia pięć lat.

Po powrocie z tej pierwszej podróży wbijam gwóźdź w ścianę obok biurka i zahaczam na nim druciany wieszak z jedwabną suknią. Długą, prostą, szeroką, fioletową w odcieniu mauve. Pola zostawiła ją u przyjaciół, u których nocowała na tydzień przed śmiercią. Rozmawiałam z Nancy i Rayem przez wiele godzin przy tym samym stole, przy którym ona spędziła tamten wieczór. Pod

koniec spotkania Nancy wyciągnęła z szafy suknię Poli i powiedziała: „Weź ją”.

Z miesiąca na miesiąc ściana nad biurkiem coraz bardziej się wypełnia: kartonową płachtą z drzewem genealogicznym; zdjęciami ludzi i miejsc; pełną skreśleń i dopisków listą pytań...

Im więcej o niej wiem, tym częściej patrzę na suknię: kim właściwie była ta kobieta? Polką? Żydówką? Europejką? Amerykanką? Ona by pewnie powiedziała: artystką. Miała ogromny talent i jeszcze większą determinację, najwybitniejszych nauczycieli i sieć kontaktów na trzech kontynentach. Czemu więc nie zrobiła wielkiej kariery? I przed czym uciekała przez niemal połowę życia?

Przeglądam zdjęcia i dokumenty. Miała ciemne, naturalnie kręcone włosy i brązowe oczy, niewiele ponad sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. „Jej drobne, pięknie uformowane ciało wieńczyła kształtna głowa o wydatnych kościach policzkowych” – napisała w 1984 roku uczennica Poli Stephanie Simmons. Według Amerykanki miała „urodę słowiańską”: wysokie łuki brwiowe, mocno zarysowany nos, szerokie, zmysłowe usta. Czy była piękna? Ja uważam, że i tak, i nie. Zdaniem Simmons „solowe tańce Nireńskiej wydobywały całe piękno jej ciała, twarzy i rąk”.

Nie mamy ani minuty zapisu filmowego jej tańca, lecz sposób, w jaki się poruszała, przetrwał we wspomnieniach przyjaciół. Od nich właśnie – od Nancy, Raya, od Rimy i George’a – usłyszałam, że pod koniec życia chodziła o kulach, ale „trzeba było zobaczyć, jak unosi rękę – to było boskie”. Nie farbowała włosów, do jedwabnych sukien nosiła jednak sznur pereł „operowej długości”. Nawet w ogrodzie snuła się za nią delikatna smuga perfum. Pięknie się śmiała. Gdziekolwiek weszła, „wypełniała sobą całą przestrzeń”.

A jednak wciąż się wymyka.

Rodzice dali jej na imię Perla, w gimnazjum była Paulą, ona sama wybrała dla siebie: Pola. Nazwisko Nirenstein w jej rodzinie pisano różnie – Nirensztejn, Nirenstein albo Nirensztajn. Ona wybrała dla siebie: Nireńska.

Pola Nireńska – tak przedstawiała się od pierwszego tournée w roku 1932 do ślubu z Janem Karskim w 1965. W latach siedemdziesiątych podpisywała się: Pola Karski. Potem, aż do śmierci, znowu: Nireńska albo Nireńska-Karski. W dokumentach z lat czterdziestych pojawia się jeszcze jako Pola de Ledesma, Pola Rathner i Pola Nireńska-Warth.

W młodości odrzuciła los „żydowskiej narzeczonej”, który wybrali dla niej rodzice. Nie chciała „dusić się w ścianach pokojów, wiecznie zależną być od kogoś, wiedzieć już z góry, jak spędzi następny miesiąc, stale czuć się jak w klatce”. Nie ona jedna.

Kiedy po I wojnie światowej młode Polki wrywały się na uczelnie, żydowskie kobiety miały cztery drogi emancypacji: przez syjonizm, komunizm, socjalizm – albo przez sztukę.

Syjonistki uciekały do kibuców, gdzie żydowska młodzież szykowała się do życia w Palestynie. W latach trzydziestych było ich w Polsce aż sto sześćdziesiąt. Tam kobiety pracowały ramię w ramię z mężczyznami na polach i przy warsztatach. Wieczorami uczyły się hebrajskiego, zamiast haftować serwetki na sobotnie chały. Ortodoksyjne matki załamywały ręce, bracia zatraskiwali drzwi, kiedy syjonistki przychodziły się żegnać w swoich skórzanych marynarkach i drelichowych spodniach.

Komunistki na nielegalnych zebraniach dyskutowały z chłopakami o światowej rewolucji. Deklamowały po rosyjsku wiersze Majakowskiego i rozdawały ulotki w fabrykach. Zwykle płaciły za to zerwaniem z rodziną, a czasem także więzieniem.

Socjalistki pracowały w szkołach, czytelniach i kuchniach ludowych zakładanych przez Bund. Czytały literaturę jidysz, nie lubiły syjonistów i nie lubiły komunistów; w pochodach pierwszomajowych wołały maszerować razem z Polakami z PPS.

Droga przez sztukę była najtrudniejsza. Trzeba ją było pokonać w pojedynkę, ryzykując życiową porażkę. Pola cały swój posag przeznaczyła na naukę tańca. Przysięgła ojcu, że po dyplomie zostanie nauczycielką, że sama nigdy nie stanie na scenie. Złama-

ła tę obietnicę. Długo szukała swojego miejsca na ziemi, a kiedy w końcu znalazła je w Ameryce, jeszcze przez kilka lat budowała samodzielną egzystencję.

Była nareszcie wolna, gdy na jej drodze stanął Jan Karski.

O nim – wydawałoby się – wiemy już wszystko.

Wybitnie utalentowany dyplomata.

Odważny kurier Polskiego Państwa Podziemnego.

Pierwszy naoczny świadek Zagłady, który dotarł do przywódców Anglii i USA.

Głęboko wierzący katolik.

Narodowy bohater, którego biografię pieczętuje się trzema słowami żołnierskiej przysięgi: Bóg, honor, ojczyzna.

A przecież on sam nigdy z siebie bohatera nie robił. „Siedział na krześle lekko, wąsko, jakby oszczędzał miejsca i uwagi zebranych” – zanotowała polska pisarka po spotkaniu w Londynie w roku 1942. Dziennikarz Głosu Ameryki widywał go w Waszyngtonie pięćdziesiąt lat później: „Nie brylował w towarzystwie, raczej przeciwnie”. Młody historyk odnotował w Warszawie w 1974 roku: „Z pozoru chłodny i powściągliwy, wolał słuchać niż mówić, ale jednocześnie, jak się go bliżej poznało, okazywał się bardzo delikatną osobą”.

Rozmawiałam z wieloma ludźmi, którzy go znali. Pod koniec życia nie miał przyjaciół, ale ci, co byli najbliżej, lubili go za błyskotliwą mądrość. Za to, że mówił prawdę, za poczucie humoru i zdolność do samokrytycyzmu. Szkoda go na pomnik.

Jakim był człowiekiem? Każda książka o Karskim zaczyna się od bogobojnej matki Walentyny Kozielskiej, która nauczyła go szacunku dla Żydów. A przecież on sam mówił, że w młodości najważniejszy był dla niego Marian, najstarszy brat. Jeżeli pójść tym tropem, jego biografia się komplikuje, rozpada na dwie części: trzeba opowiedzieć o Janku Kozielskim i Janie Karskim. I o tym, że Karski swojej młodości się wstydził.

Niektórzy mówią, że po wojnie czuł się przegrany, bo nie udało mu się uratować ani jednego Żyda. Sądzą, że z Polą Nireńską połączyło go „małżeństwo moralno-polityczne” – że był to raczej „gest opieki”. Ale przyjaciele Poli twierdzą, że Jan ją kochał i był z niej dumny. W liście wysłanym po jej śmierci napisał: „Moje życie skończyło się”. Ufundował wtedy dwie nagrody jej imienia. Przeznaczył na nie oszczędności całego życia.

Mówiła o nim: Jan, do niego: Jasiu. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że dla wszystkich wokół był Johnem, a ona nigdy nie rozmawiała z nim po polsku.

Z nikim nie chciała rozmawiać po polsku, odkąd dowiedziała się o śmierci Franki.